

## CZESŁAW POPIK

ur. 1925; Niedziałowice



Miejsce i czas wydarzeń	Niedziałowice, II wojna światowa
Słowa kluczowe	Niedziałowice, II wojna światowa, pierwsze dni wojny, ucieczki ludności

### Postępowanie Niemców

W trzydziestym dziewiątym roku Niemcy zaczęli chodzić po Niedziałowicach oficjalnie, ale to trwało mniej więcej rok czasu. A później to już się bali chodzić, bo to było ryzyko cholerne, to było piekielne ryzyko.. Jak Niemcy przysli to wszystko mieli zmechanizowane. Po zęby byli uzbrojeni, mieli broń krótką, nosili pistolety po stronie po lewej, a myśmy po prawej nosili. Mnie najbardziej wruszały te sprawy niszczenia, zabijania. Później zabijali dwóch moich sąsiadów. Jeden był prawosławny, drugi był Polak, zabrali go i zamordowali na Wierzchowinach w pierwszych dniach na wojnie. To był rok albo czterdziesty zaraz na początku albo trzydziesty dziewiąty, zimą. Niemcy byli w innych wsiach. Jeden Niemiec był spolszczony, dalece spolszczony. Byli w miejscowości Rybie oddalonej o trzy kilometry od nas [Niedziałowice]. Było ich cztery czy pięć rodzin. Oni tam kablowali i kolega, który był z Rybiego, z całą rodziną był maltretowany. To był rok trzydziesty dziewiąty, wczesna jesień. Zebrali ich wszystkich, wyłapali i dawali im w skórę. Na żabkę im dawali sześć godzin, żeby się przyznali, gdzie jest broń, gdzie jest wszystko. Ci którzy tam mieszkali podali na nich, a oni już byli wtenczas w ZWZ-ze, w Związku Walki Zbrojnej. Ojciec mnie zlecił zadanie, wziąć parę koni, a piękne konie mieliśmy. Tato lubował się w koniach. Jak z defektem był koń to ojciec zabierał go, leczył i piękne konie były w domu. Powiedział do mnie: „Pojedziesz, tam taki i taki koń jest do zabrania, z nakazem zabrania, ranny”. Zbieram się i jadę tam. Przyjeżdżam, a tu [kolega] opuchnięty, zбитy ale nic się nie przyznał, nie zabili nikogo, a chcieli ich zabić, już wszystkich wybić chcieli. Jak [Niemcy] chcieli w nich strzelać to oni padają wszyscy i już nie żyją. To Niemcy nie zabijają ich, to ich puszczają na chwilę i dalej ich tłuką. I ja dopiero jak odjechali ci Niemcy to zabrałem tego jednego kolegę ciężko rannego, zabrałem do wozu, przywiozłem do domu. U nas był sześć czy pięć dni i przywiozłem tego lekarza z Bończy, siedem czy osiem kilometrów oddalonej od nas. Mogli nas po drodze roztrzaskać, ale lekarza zawsze mogą wieść w nocy i ten z Bończy jakoś się uratował. Lekarz wiedział już o działalności podziemnej. Ja nie wiedziałem jeszcze

nic i ojcu nie powiedziałem też. Ojciec nie dzielił się tym wszystkim ze mną, bo już byłem kandydatem, który miał być w szkole oficerskiej. Jemu można było powiedzieć wszystko, on nigdzie nie puści farby. Ten kolega Józef miał na imię i wyszedł z tego. Później on też uciekł na zachód, a brat jego rozprawiał się brutalnie z Niemcami. Na imię mu było Stanisław, zginął później, ale powybijał ich jak cholera. Ja tego nie robiłem, bo byłem w obstawie, byłem jednym z najmłodszych w jednostce w tych paru osobach.

<b>Data i miejsce nagrania</b>	2010-09-22, Lublin
<b>Rozmawiał/a</b>	Piotr Lasota
<b>Transkrypcja</b>	Justyna Lasota
<b>Redakcja</b>	Justyna Lasota, Piotr Lasota
<b>Prawa</b>	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"